DEAN

KOONTZ

KLUCZ DO PÓŁNOCY

THRILLER SZPIEGOWSKI O KONTROLOWANIU LUDZKICH UMYSŁÓW

Tę lepszą wersję dedykuję Gerdzie.

Mogę powracać do przeszłości i wprowadzać
poprawki w książkach, które wydawałem pod pseudonimem,
lecz obawiam się, że nie wystarczy mi energii,
aby poprawić siebie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Joanna

Cichy dźwięk,
Strach na wróble
Upadł na ziemię.

Boncho (1670–1714)

1

Joanna Rand podeszła w ciemności do okna. Naga i roztrzęsiona wyjrzała przez szczelinę miedzy deszczułkami okiennic.

Zimny wiatr wiejący z dalekich gór napierał na szkło i grzechotał obluzowaną szybą.

O czwartej nad ranem Kioto było ciche, nawet Gion, dzielnica rozrywek, nocnych klubów i gejsz. Duchowe serce Japonii liczyło tysiąc lat, a mimo to tchnęło nowością; mieniło się neonami, starożytnymi świątyniami, plastikową tandetą i pięknie rzeźbionym kamieniem; szkaradne płody nowoczesnej architektury wyrastały obok pałaców i bogato zdobionych sanktuariów, zniszczonych przez stulecia wilgotnych letnich upałów i równie wilgotnych zimowych chłodów. Dzięki niepojętemu związkowi tradycji i popkultury metropolia odzyskała wiarę w trwałość i istotę człowieczeństwa, odświeżyła podkopane przekonanie o wartości jednostki.

Ziemia krąży wokół Słońca; społeczeństwo podlega ciągłym zmianom; miasto się rozrasta; rodzą się nowe

pokolenia... i ja będę trwać tak samo jak one.

Ta myśl zawsze działała na nią kojąco, kiedy nie mogła spać i siedziała samotnie w ciemności, niezdrowo rozbudzona przez wszechogarniający, nieokreślony strach, który dręczył ją każdej nocy.

Kiedy się nieco uspokoiła, lecz nadal nie spieszyło jej się do łóżka, włożyła czerwony jedwabny szlafrok i kapcie. Nadal drżały jej smukłe dłonie, lecz nie trzęsły się już tak gwałtownie jak przed chwilą.

Czuła się zbezczeszczona, wykorzystana i porzucona, jakby przerażający potwór z sennego koszmaru przyjął fizyczną postać i kilkakrotnie brutalnie zgwałcił ją podczas snu.

Mężczyzna o stalowych palcach sięga po strzykawkę...

Tylko ten jeden obraz pozostał jej w pamięci po obudzeniu, za to był tak realistyczny, że mogła przywołać jego wspomnienie w każdej chwili wraz z makabrycznymi szczegółami: gładka powierzchnia metalowych palców, terkot pracującego mechanizmu, światło lśniące na mechanicznych kłykciach.

Zapaliła lampkę nocną i rozejrzała się po znajomym otoczeniu. Wszystko stało na swoim miejscu. W powietrzu unosiły się te same zapachy co zawsze. Mimo to zastanawiała się, czy na pewno przez całą noc była sama.

Przeszedł ją dreszcz.

2

Zeszła po wąskich schodach do swojego gabinetu na parterze. Zapaliła światło i obejrzała pokój tak, jak poprzednio pomieszczenia na górze, upewniając się, czy przerażająca zjawa ze snu nie czyha na nią gdzieś w rzeczywistym świecie. Łagodny blask porcelanowej lampy nie rozpraszał mroku we wszystkich zakamarkach. Fioletowe draperie ciemności spowijały półki z książkami, palisandrowe meble, obrazy namalowane na papierze ryżowym. Palmy w donicach odbijały się na ścianach koronką skomplikowanych cieni. Wszystko wyglądało jak zwykle.

Na biurku leżały dokumenty – niedokończona praca papierkowa – lecz Joanna nie była w nastroju do rachunków. Potrzebowała drinka.

Weszła do wyłożonej dywanem części klubu wokół długiego koktajlbaru w głębi Księżycowej Poświaty. Ciemność w sali rozpraszały słabe lampki zamontowane nad dwoma przydymionymi niebieskimi lustrami za barem, roztaczające jaskrawe fasety szklanego światła,

które rozcinał mrok niczym głownie sztyletów, oraz upiorne zielone żarówki przy czterech wyjściach. W głównej części sali stało sześćdziesiąt stolików oraz dwieście krzeseł zwróconych przodem do niewielkiej sceny. Klub wydawał się cichy i opuszczony.

Joanna weszła za bar, wzięła szklankę z suszarki i nalała sobie podwójną sherry Dry Sack z lodem. Upiła łyk, odetchnęła, a wtedy zauważyła ruch przy otwartych drzwiach prowadzących do biura.

To Mariko Inamura, jej zastępczyni, zeszła ze swojego pokoju mieszczącego się na drugim piętrze, nad mieszkaniem Joanny. Jak zawsze skromna, Mariko miała na sobie bezkształtny zielony płaszcz kąpielowy, który sięgał do ziemi i był na nią o dwa numery za duży. W luźnej pikowanej szacie przypominała bardziej bezdomne dziecko niż dorosłą kobietę. Czarne włosy, które zwykle upinała w górze dwoma szpilkami z kości słoniowej, opadały luźno na ramiona. Podeszła do baru i usiadła na stołku.

– Nalać ci drinka? – spytała Joanna.

Mariko się uśmiechnęła.

– Nie, dziękuję. Poproszę o wodę.

– Napij się czegoś mocniejszego.

– Wystarczy woda, dziękuję.

– Chcesz, żebym się poczuła jak pijaczka?

– Nie jesteś pijaczką.

– Dziękuję ci za pocieszenie – odrzekła Joanna – ale nie jestem tego pewna. Ostatnio coraz częściej zdarza mi się schodzić w nocy do baru. – Postawiła na kontuarze szklankę z wodą i lodem.

Mariko obracała ją powoli w drobnych dłoniach, ale nie podniosła do ust.

Joanna podziwiała jej naturalny wdzięk, który zamieniał każdy zwyczajny ruch w teatralny gest. Mariko miała trzydzieści lat, dwa lata mniej niż ona, duże, ciemne oczy i delikatne rysy. Wydawała się zupełnie nieświadoma swej wyjątkowej urody, a ta skromność jeszcze bardziej dodawała jej uroku.

Przyszła do pracy w Księżycowej Poświacie tydzień po otwarciu. Pragnęła dostać tę pracę nie tylko dla pieniędzy, lecz również aby skorzystać z okazji do poprawienia swego angielskiego w rozmowach z Joanną. Oznajmiła bez ogródek, że zamierza odejść po roku lub dwóch, aby ubiegać się o posadę sekretarki w którymś z dużych amerykańskich przedsiębiorstw w Tokio. Tymczasem po sześciu latach Tokio przestało ją pociągać, w każdym razie nie na tyle, by porzuciła życie, które teraz wiodła.

Również Mariko uległa urokowi Księżycowej Poświaty. Stał się najważniejszą częścią jej życia, podobnie jak dla Joanny stał się jedyną jego treścią.

W osobliwy sposób ten nieco zaściankowy świat był schronieniem równie bezpiecznym i ustronnym jak klasztor zen zbudowany na dalekiej górskiej przełęczy. Każdego wieczoru lokal zapełniał się klientami, a mimo to świat zewnętrzny w niewielkim stopniu przenikał w jego mury. Kiedy pracownicy wracali do domów i drzwi się za nimi zamykały, klub oświetlony niebieskim światłem, ze srebrno-czarnym wystrojem w stylu art déco, z lustrami na ścianach i nęcącą aurą tajemniczości, mógłby się równie dobrze znajdować w każdym innym

kraju, w dowolnej epoce, począwszy od lat trzydziestych. Mógłby być nawet scenerią ze snów. Zarówno Joanna, jak i Mariko najwyraźniej potrzebowały tego dziwnego sanktuarium.

Poza tym niespodziewanie zrodziło się między nimi prawdziwie siostrzane uczucie wypełnione wzajemną troskliwością. Obie niełatwo nawiązywały przyjaźnie. Mariko miała w sobie wiele ciepła i uroku, ale – jak na kobietę pracującą w nocnym klubie w dzielnicy Gion – była zaskakująco nieśmiała. W pewnym stopniu przypominała ciche, potulne Japonki z innej, znacznie mniej demokratycznej epoki. Z kolei Joanna, choć pełna życia i towarzyska, również z trudnością zdobywała się na bliskość, dzięki której luźna znajomość mogła się przerodzić w przyjaźń. Dlatego wkładała wiele starań, aby zatrzymać Mariko w Księżycowej Poświacie, i systematycznie zlecała jej coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Mariko odwdzięczała jej się ciężką i sumienną pracą. Choć nigdy nie rozmawiały o swej cichej przyjaźni, obie uznały, że ani nie muszą, ani nie chcą się rozstawać.

Nie po raz pierwszy Joanna zastanawiała się: Czemu akurat Mariko?

Ze wszystkich ludzi, jakich mogłaby wybrać sobie na przyjaciół, Mariko wcale nie należała do osób, które wskazałaby w pierwszej kolejności, może poza jedną cechą, którą bardzo sobie ceniła: nawet jak na japońskie normy dziewczyna wykazywała wyjątkową dyskrecję oraz ogromny szacunek dla cudzej prywatności. Nigdy nie wypytywała o szczegóły z przeszłości swojej przyjaciółki, nie plotkowała, nie dawała upustu wścibskiej

dociekliwości, którą tak wielu ludzi uważa za nieodzowny element przyjaźni.

Przynajmniej nie ma niebezpieczeństwa, że będzie próbowała zbyt dużo się o mnie dowiedzieć.

Joannę zdziwiła ta myśl. Sama siebie nie rozumiała. Przecież nie miała żadnych tajemnic, żadnej przeszłości, której by się wstydziła.

Trzymając w dłoni kieliszek z wytrawnym sherry, wyszła zza baru i usiadła na stołku.

– Znowu miałaś koszmary – zauważyła Mariko.

– To tylko sen.

– Koszmar – powtórzyła cicho, lecz z naciskiem Japonka. – Ten sam co tysiąc razy przedtem.

– Nie tysiąc – zaprotestowała Joanna.

– Dwa tysiące? Trzy?

– Obudziłam cię?

– Tym razem wydawałaś jeszcze gorsze odgłosy niż zwykle – odrzekła Mariko.

– Takie same.

– Myślałam, że zostawiłam włączony telewizor.

– Naprawdę?

– Jakbym słyszała stary film o Godzilli.

Joanna się uśmiechnęła.

– Przez te krzyki?

– Jakby równali Tokio z ziemią, a tłumy uciekały, żeby ratować życie.

– No dobrze, niech ci będzie, to był rzeczywiście koszmar. Jeszcze gorszy niż zwykle.

– Martwię się o ciebie.

– Niepotrzebnie. Twarda ze mnie sztuka.

– Znowu go widziałaś... mężczyznę ze stalowymi palcami?

– Nigdy nie widuję jego twarzy – powiedziała Joanna zmęczonym głosem. – W ogóle niczego poza tą dłonią i okropnymi metalowymi palcami. Przynajmniej niczego więcej nie pamiętam. Myślę, że w tym koszmarze dzieje się więcej, ale po przebudzeniu szybko o tym zapominam. – Wzdrygnęła się i upiła sherry.

Mariko położyła dłoń na jej ramieniu i delikatnie ścisnęła.

– Mam wujka, który jest...

– Hipnotyzerem.

– Psychiatrą – sprostowała Japonka. – Lekarzem. Stosuje hipnozę tylko...

– Tak, wiem, Mariko-san, już mi o nim opowiadałaś. Ale ja nie chcę.

– Pomógłby ci przypomnieć sobie resztę snu. Może nawet z jego pomocą udałoby ci się zrozumieć, skąd się biorą te koszmary.

Joanna spojrzała na swoje odbicie w błękitnym lustrze nad barem i w końcu rzekła:

– Chyba nie chcę wiedzieć, skąd się biorą.

Przez chwilę obie milczały. W końcu odezwała się Mariko:

– Nie podobało mi się, kiedy zrobili z niej bohaterkę.

Joanna uniosła brwi.

– Z kogo?

– Z Godzilli. Te późniejsze filmy, w których Godzilla walczy z innymi potworami i broni Japonii. To niemądre. Potwory powinny przerażać. Nie będziemy mieć z nich

żadnego pożytku, jeśli nie będą nas straszyć.

– Czyżbym miała właśnie usłyszeć jakąś złotą myśl tajemniczego Orientu? Nie słyszałam dzwonu świątyni zen.

– Czasem potrzebujemy, żeby ktoś nas przestraszył – oznajmiła Mariko.

Joanna wydała cichy odgłos naśladujący sygnał zanurzenia łodzi podwodnej.

– Czasem strach nas oczyszcza, Joanna-san.

– Wpływamy na niepojęte głębiny japońskiej filozofii – wyszeptała Joanna teatralnie.

Mariko ciągnęła niezrażona:

– Kiedy patrzymy w oczy swoim demonom...

– Zanurzamy się coraz głębiej w japońską umysłowość, ciśnienie rośnie...

– ...i udaje nam się ich pozbyć...

– ...coraz głębiej i głębiej...

– ...wtedy niczego już nie musimy się obawiać...

– ...ciężar niespodziewanego objawienia zmiażdży mnie jak robaka...

– ...nie potrzebujemy więcej oczyszczenia...

– ...drżę u progu oświecenia...

– ...i stajemy się wolni.

– Tonę w olśniewającym blasku mądrości – oznajmiła Joanna.

– Owszem, i nadal jesteś ślepa – odrzekła Mariko. – Za bardzo kochasz swój strach, aby ujrzeć prawdę.

– Tak, to ja we własnej osobie, kobieta zakochana w swoich fobiach – rzekła Joanna i jednym haustem opróżniła kieliszek z sherry.

– No proszę, a to podobno nas, Japończyków, trudno zrozumieć.

– Kto tak uważa? – spytała Joanna tonem udawanej niewinności.

– Mam nadzieję, że w Kioto zjawi się Godzilla – powiedziała Mariko.

– Czyżby miała nowy film do zareklamowania?

– A jeśli się zjawi, to będzie Godzilla-patriotka, szukająca nowych niebezpieczeństw grożących mieszkańcom Japonii.

– Bardzo to ładnie z jej strony.

– Zobaczy twoje blond włosy i rzuci się na ciebie bez chwili namysłu.

– Pomyliłaś Godzillę z King Kongiem.

– Zmiażdży cię na środku ulicy, a mieszkańcy Kioto wzniosą radosne okrzyki na jej cześć.

– Zobaczysz, jeszcze za mną zatęsknisz – powiedziała Joanna.

– Przeciwnie. Trzeba będzie zbierać z ulicy krew i flaki po tej krwawej jatce, ale klub otworzy podwoje po kilku dniach, i tym razem to będzie m ó j lokal.

– Tak? Ciekawe, kto zaśpiewa na scenie, kiedy mnie zabraknie.

– Klienci.

– Wielkie nieba! Zamienisz Księżycową Poświatę w bar karaoke!

– Potrzebuję tylko kolekcji płyt starego Engelberta Humperdincka.

– Jesteś bardziej przerażająca niż Godzilla w najgorszych swoich filmach.

Uśmiechnęły się, patrząc na siebie w błękitnym lustrze nad barem.

3

Gdyby pracownicy Alexa Huntera w Chicago mogli widzieć swojego szefa na kolacji w Księżycowej Poświacie, zdziwiliby się jego swobodnym zachowaniem. Był wymagającym chlebodawcą. Oczekiwał w pracy perfekcji i zwalniał bez wahania każdego podwładnego, który nie potrafił sprostać jego standardom; człowiekiem sprawiedliwym, lecz skłonnym do ostrej i trafnej krytyki. Znali go raczej jako milczka i rzadko widzieli, żeby się uśmiechał. W swym rodzinnym mieście był obiektem zazdrości i szacunku, lecz prawdziwą sympatią darzyła go jedynie garstka nielicznych przyjaciół. Jego pracownicy, zarówno biurowi, jak i wywiadowcy terenowi, otworzyliby usta ze zdziwienia, gdyby teraz zobaczyli, jak gawędzi wesoło z kelnerami, a z twarzy prawie nie znika mu uśmiech.

Wyglądał na człowieka, który nie skrzywdziłby muchy, lecz były to pozory. Kilka lat temu wpakował pięć kul w niejakiego Rossa Baglio. W innych okolicznościach dźgnął mężczyznę w gardło ostrą końcówką złamanego kija od

szczotki. Jednak w obydwu wypadkach działał w samoobronie. Teraz sprawiał wrażenie najzwyczajniejszego, dobrze ubranego biznesmena korzystającego z nocnych rozrywek w egzotycznym mieście.

Duże znaczenie dla jego dobrego nastroju mieli mieszkańcy Japonii, ta relatywnie odhermetyzowana kultura tak odmienna od amerykańskiego stylu życia. Trudno było się nie uśmiechać w kontaktach z nieodmiennie miłymi i uprzejmymi Japończykami. Alex przyjechał na urlop do tego kraju zaledwie dziesięć dni temu, nie pamiętał jednak, by kiedykolwiek w życiu czuł się choć w połowie tak zrelaksowany i spokojny jak teraz.

Naturalnie niemały wpływ na jego wyśmienity humor miało również jedzenie. W Księżycowej Poświacie serwowano pierwszorzędne potrawy. Japońska kuchnia zmienia się wraz z następstwem pór roku bardziej niż tradycje kulinarne innych krajów, późna jesień zaś oferuje w Japonii wyjątkowe przysmaki. A co ważniejsze, wszystkie dania uzupełniały się nawzajem. Tu podawano je na porcelanowych naczyniach, które zarówno pod względem wzornictwa, jak i kolorystyki harmonizowały z układanymi na nich potrawami. Tak więc Alex rozkoszował się kolacją idealnie współgrającą z chłodnym listopadowym wieczorem. Na delikatnej drewnianej tacy stała porcelanowa misa w kolorze kości słoniowej z grubymi plastrami rzodkwi *daikon*, czerwonymi partiami ośmiornicy oraz *konnyaku* – galaretką z bulwy diabelskiego jęzora. Żłobkowana zielona miseczka kusiła pikantną, aromatyczną musztardą, którą można było

dodać do każdego podanego specjału. Na dużym szarym półmisku stały dwie czarno-czerwone miseczki, jedna z zupą *akadashi* z grzybami, druga z ryżem, a obok na owalnym talerzu leżała dorada z trzema dodatkami oraz startą rzodkwią *daikon*. Był to bogaty, jesienny posiłek dobrany w stosownych, poważnych kolorach.

Kiedy jednak Alex przełknął ostatni kęs dorady, przyznał w duchu, że to nie japońska gościnność ani smaczne jedzenie wprawiły go w tak dobry nastrój. Najbardziej bowiem cieszył się na myśl, że oto za chwilę na małej scenie pojawi się Joanna Rand.

O ósmej światła w klubie przygasły, rozsunęły się srebrzyste kotary i zespół Księżycowej Poświaty zaczął grać całkiem udaną interpretację *A String of Pearls*. Może nie dorównywali najsłynniejszym światowym orkiestrom, nie wytrzymywali porównania z Goodmanem, Millerem czy choćby braćmi Dorsey, lecz grali zaskakująco dobrze jak na kawiarnianych muzyków, urodzonych i wychowanych tysiące kilometrów i kilkadziesiąt lat od miejsca i czasu powstania utworu. Pod koniec numeru, kiedy widownia klaskała entuzjastycznie, zespół zmienił melodię na *Moonglow* i na scenę z prawej strony weszła Joanna Rand.

Serce Alexa zabiło szybciej.

Była smukła, pełna gracji i olśniewająca, chociaż według żadnych klasycznych kryteriów nie można by jej nazwać piękną. Miała kobiecą, ale zbyt silnie zarysowaną brodę, nos niewystarczająco wąski i prosty, by szukać go na starożytnych greckich rzeźbach; kości policzkowe nie dość wysokie, by zadowolić znawców urody z „Vogue'a";

a uderzająco niebieskie oczy o kilka odcieni ciemniejsze niż u modelek o znużonych spojrzeniach, poszukiwanych ostatnio na okładki magazynów oraz do telewizyjnych reklam. Była tętniącą życiem, złocistą zjawą o jasnej, bursztynowej skórze i platynowych włosach opadających kaskadą na plecy. Wyglądała na trzydzieści lat, nie młodziej, lecz każde piętno doświadczenia i każdy rys charakteru w niewytłumaczalny sposób podkreślały jej urodę.

Deski sceny były jej żywiołem nie tylko dlatego, że można było na nią patrzeć, lecz przede wszystkim dlatego, że można jej było słuchać. Miała doskonały głos. Jej krystaliczny śpiew przenikał duszne powietrze i drżał w ciele Alexa. Chociaż sala klubu była zapełniona po brzegi i większość gości piła drinki, kiedy Joanna Rand wchodziła na scenę, wszystkie rozmowy cichły. Publiczność słuchała jak urzeczona.

Alex znał tę kobietę z innego miejsca i innego czasu, lecz nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy się spotkali. Jej twarz wydawała mu się wręcz zniewalająco znajoma, zwłaszcza oczy. Czuł nawet, że to nie mogło być jednorazowe spotkanie, ale że znał ją bardzo dobrze, prawie do granic intymności.

To absurdalne. Przecież nie mógłby zapomnieć tak olśniewającej kobiety. Gdyby się wcześniej spotkali, zapamiętałby najdrobniejszy szczegół tej chwili.

Patrzył. Słuchał. I pragnął wziąć ją w ramiona.